

Polscy prokuratorzy w Norymberdze

— Panie Profesorze, czy po dwudziestu latach mógłby Pan odnieść nam kuliszy udziału delegacji polskiej w procesie norymberskim?

— Gdy w lecie 1945 r. w Warszawie zapadła decyzja wzięcia udziału w procesie norymberskim, minister sprawiedliwości delegował do Londynu prokuratorów: dr. Stanisława Piotrowskiego i mnie (do nas dołączył później prof. Stefan Kurowski) celem rozszerzenia się w sytuacji i ustalenia prawnej i technicznej formy polskiego udziału w procesie.

Londyn był siedzibą Komisji Narodów Zjednoczonych do Spraw Zbrodni Wojennych. Przedstawicielem polskim w komisji był dr. Tadeusz Cyprian, zatwierdzony na tym stanowisku przez ministra sprawiedliwości obok dr. Mieczysława Szerera jako pierwszego przedstawiciela.

Delegacja warszawska zjawiała się w Londynie jesienią roku 1945; wzywano telegraficznie dr. Cypriana, który był wówczas z ramienia Rządu Jedności Narodowej obserwatorem na procesie załogi obozu Bergen-Belsen w Lueneburgu i zaczęły się przygotowania do udziału delegacji polskiej w procesie norymberskim.

Sprawa ta stała pod znakiem zapytania, bo umowa londyńska przewidywała udział w procesie jedynie przedstawicieli czterech mocarstw. Dlatego też wszelkie interwencje delegacji polskiej spotykały się z grzecznym ale stanowczym cytowaniem umowy. Nawet Rosjanie, bardzo życzliwie odnoszący się do naszych postulatów, rozkładali ręce. Amerykanie jako gospodarze procesu obiecali nam jedynie prawo wjazdu do Norymbergi na okres 10 dni z tym, że dopiero na miejscu będzie można ustalić czy i jak udaloby się delegacji polskiej zapewnić jakąś formę faktycznego udziału w procesie.

Po tych pertraktacjach powróciliśmy do Polski, w Londynie zaś rozpoczęła się gorączkowa praca nad przygotowaniem „polskiego aktu oskarżenia” i gromadzeniem materiału obrazującego spraw polskich.

— Jak przygotowano te materiały?

— Oficjalny akt oskarżenia opierał się na małej ilości materiału dotyczącego spraw polskich i opracowanie „polskiego aktu oskarżenia” jako nieoficjalnego niejako uzupełnienia było konieczne.

Ale bynajmniej niełatwe. Łączność Polski z Londynem była bardzo żywa do chwili powstania warszawskiego i w okresie poprzedzającym powstanie mogliśmy nawet wydawać obszerne publikacje dokumentalne obrazujące stosunki w Polsce, obejmujące materiały informacyjne, dokumenty i fotografie. Jednakże z chwilą wybuchu powstania przestała istnieć sieć informacyjna w Warszawie. Stąd wszelkie materiały dokumentalne, będące do dyspozycji w Londynie urywały się na dacie 1 sierpnia 1944 r.

Mimo to, w bardzo krótkim czasie przygotowano dokument o objętości ponad 100 stron maszynopisu, poparty doskonale zestawionymi dowodami hitlerowskich zbrodni wojennych. Tak opracowany akt oskarżenia delegacja polska złożyła do rąk czterech głównych oskarżycieli w Norymberdze. Posłużył on im do precyzowania zarzutów pod adresem oskarżonych w czasie procesu i bardzo wydatnego rozszerzenia problematyki polskiej w czasie po-

stępowania dowodowego przed trybunałem.

— Jak kształtowała się współpraca z trybunałem w toku procesu?

— Delegaci polscy mieli się spotkać w Norymberdze w pierwszych dniach listopada 1945 r., aby przed rozpoczęciem procesu mieć czas na starania o dopuszczenie — w jakiegokolwiek formie — do udziału w procesie.

Jednakże delegacja nasza jadąca z Warszawy starym, mocno sfatygowanym samochodem utknęła w radzieckiej strefie okupacyjnej nie posiadając właściwych dokumen-

Rozmowa z prof. dr Jerzym Sawickim

tów, których uzyskanie nie było łatwe wobec braku polskiego przedstawicielstwa w Berlinie, a delegat z Londynu utknął już od razu na lotnisku londyńskim z przyczyn atmosferycznych. Tak więc delegacja polska znalazła się w Norymberdze w komplecie dopiero na krótko przed rozpoczęciem procesu. I teraz zaczęły się kłopoty.

Jedynym miejscem, gdzie personel aliancki mógł mieszkać i jeść był „Grand Hotel” w Norymberdze. W tych warunkach o możliwości pobytu w Norymberdze decydowało nie tylko zezwolenie władz amerykańskich, ale i kwatery w „Grand Hotelu” w połączeniu z kartą żywnościową.

Delegacja polska otrzymała zaraz po przyjeździe takie karty na 10 dni. Amerykanie nie chcieli się zgodzić na nasz stały pobyt, oświadczając, że zadaniem delegacji polskiej było przywieźć do Norymbergi dokumenty dotyczące spraw polskich i wręczyć je referentom oskarżenia. Ponieważ w myśl umowy londyńskiej delegacja polska nie mogła być formalnie dopuszczona do udziału w procesie, dalszy jej pobyt w Norymberdze był, zdaniem Amerykanów, zbędny, a trudności w zakwaterowaniu i wyżywieniu kazały ograniczać do minimum udział osób pozostających tu na stałe.

— A jednak byliście w Norymberdze do końca procesu...

— Tylko dzięki życzliwości kilku wyższych oficerów administracji udało się nam uzyskać „milczącą” zgodę na pozostanie w Norymberdze — w postaci kart pobytu i kart hotelowych bez końcowej daty. Dostaliśmy dwie „pełne” karty, a dwie tylko na wyżywienie w hotelu, z tym, że przydzielono nam dwuosobowy pokój zarekwirowany u Niemców na przedmieściu. Wobec braku komunikacji trzeba było co dzień odbywać pieszo parokilometrową marszrutę przez zburzone miasto.

Gmach sądu, w którym znajdował się trybunał był oddalony o około 3 km od „Grand Hotelu”. Nie pytając nikogo o zgodę, zajęliśmy w tym gmachu trzy różne pokoje, skombinowaliśmy klucze do zamków, a na drzwiach umieściliśmy piękne, okazałe rozmiarami tablice „Polish Delegation”. W ten sposób de facto włączyliśmy się w maszynę procesową, a gdy w parę dni po naszym zainstalowaniu się Amerykanie robili w gmachu generalne porządki nikt nas już nie zapytał, skąd się tam wzięliśmy. Zaakceptowano fakt naszego istnienia („sko-

ro tu są to widocznie z czyjejs autoryzacji”), a nawet włączono nasze biuro do generalnego planu biur.

Gdy już biuro było czynne, zaczęli do nas trafiać najpierw dziennikarze amerykańscy i angielscy, wreszcie po gmachu sądowym, a potem już i referenci poszczególnych działów oskarżenia, pytający o różne sprawy.

Ponieważ delegacja nasza mogła odpowiedzieć na każde pytanie w dowolnym niemal języku, potrafiła przetłumaczyć trudne dokumenty na angielski, francuski lub rosyjski orientowała się dobrze w stosunkach okupacyjnych, zaczęliśmy być popularni.

Z wolna wytwarzała się specjalizacja: dr Cyprian i ja nawiązywaliśmy coraz więcej kontaktów z Amerykanami i Anglikami, podczas gdy dr Piotrowski i prof. Kurowski nawiązali szereg znajomości wśród delegacji francuskiej i radzieckiej.

— I nikt wam nie przeszkadzał?

— Pewnego dnia dostaliśmy zaproszenie na rozmowę z szefem administracji amerykańskiej. Trzeba było przynajmniej, że szliśmy na nią z treścią, bo nasz „status” w Norymberdze był bardzo słabo ugruntowany.

Amerykański pułkownik zaczął od tego, że dochodzą go wieści, iż założyliście formalne biuro w gmachu trybunału i rozwijamy działalność nie przewidzianą w „gentlemen agreement” dotyczącym naszego pozostania w Norymberdze.

Ale — dodał — słyszałem również, że pomagacie naszym oskarżycielom. Jak sobie ułożycie stosunki z nimi i co potrafiacie zrobić w procesie — to wasza rzecz; ja ze swej strony nie będę przeszkadzał, tylko nie żądajcie, by wam przydzielono samochód i dwa dalsze miejsca w „Grand Hotelu”, bo tego nie dostaniecie.

Rozstaliśmy się więc w sposób najbardziej przyjazny, zainstalowani już „de facto” na dobre w Norymberdze. W jakiś czas po nas zjawili się w Norymberdze Czesi, a potem Jugosłowianie i Grecy. Ale ich delegacje nie były stałe, lecz przyjeżdżały na krótko w okresach, gdy trybunał zajmował się szczególną sprawą ich krajów. Nasza sytuacja była inna, trybunał niemal stale miał do czynienia ze sprawami polskimi.

W jakiś czas po rozpoczęciu naszej działalności dr Piotrowski dobrał się do 42 tomów „Dziennika” Hansa Franka i pracował nad nim całe dni (a nieraz i noce); jego dziełem jest wybór najbardziej istotnych ustępów z tego olbrzymiego materiału. Ustępy te następnie niemal w całości weszły do postępowania dowodowego przed trybunałem.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW K. ROGOWSKI

KURHAN I ŻYCIE

Dokończenie ze str. 1

rozległy się już strzały. Niesłychana, drażniąca cisza, jakiej nie zaznali przez cztery miesiące, zwiastowała zmianę. Wróg kapitulował.

Schodzimy pomnikowymi schodami w kierunku trolejbusu. Złotów zadumany, ja — przeglądając „Wołgogradzką Prawdę”. Bo dzisiaj jest 22 czerwca. Dwadzieścia pięć lat temu hitlerowska nawała uderzyła na Kraj Rad. Gazeta poświęca z tej okazji całą stronę wspomnieniom z walk. Jest naturalnie zdjęcie, wiążące się z treścią naszej rozmowy: kolumna jeńców Wehrmachtu opuszczająca po kapitulacji stalingradzkie pozycje.

★
Znów trafiam do centrum, obejrzawszy przedtem jeden jedyny roz-

NA KOŃCU OGONKA

Redakcja „Polityki” zwróciła się do blisko tysiąca gospodyń domowych z prośbą o wypełnienie ankiety zawierającej zestaw pytań z tej dziedziny. Uzyskano 240 odpowiedzi. W oparciu o nie Zygmunt Szeliga opisuje życie Polaków „na końcu ogonka”. Okazuje się, że rocznie tracimy 2,5 mld. godzin. Gdyby przeznaczyć ten czas na pracę produkcyjną, nasz dochód narodowy wzrósłby o 5 proc. A ponadto — ile nerwów ludzkie tracą stojąc w ogonkach? Autor pisze szczegółowo o tym, w jakiego rodzaju sklepach tracimy najwięcej czasu.

STYLONOWE BARIERY

Jan Babiński w „Życiu Gospodarczym” prorokuje, że cały trud zaopatrzenia rynku w elastyczne rajtuzy znowu spadnie na doświadczonych barki orbisowskich turystów. W naszej sytuacji — zdaniem autora — kupno za granicą damskich spodni elastycznych nie jest przejawem snobizmu. Upokarzające jest co innego: niski poziom naszych własnych, krajowych wyrobów.

Sytuacja jest nawet trochę paradoksalna. Mamy gotowe prototypy maszyn dziewiarskich, w niektórych przypadkach bijące nowoczesnością rozwiązań produ-

Eugeniusz Pauksztla

W Wydawnictwie Literackim

Miłośnikom pięknie wydanych, frapujących książek Andrzej Banacha pracujący ten autor przedstawia teraz nową swoją pozycję zatytułowaną „Pismo i obraz”. Czytając tę książkę przeżyjemy kapitalną wędrówkę przez dzieje — od pieczętek, hieroglifów, po teksty w drzewie, po miniatury i ikonografię, aż po dzisiejszy, wyrażający się i przez malarstwo, ale i przez reklamę wyraz wzajemnych stosunków pisma i obrazu. Historia nie tylko ciekawa, ale i nader pouczająca.

W przekładzie i opracowaniu Zofii Szleyen, a z trafnymi ilustracjami Otto Axera ukazał się tomik Federico Garcia Lorci „Teatro breve”, mieszczący groteski teatralne Lorci. Intensywne, 37-letnie życie Lorci, pozostawiało w spadku okazałą ilość komedii, poezji i pieśni, nawet muzyki. Obok romansów szczególnie ulubioną jego formą są krótkie teksty sceniczne, groteski, pełne uroku, dowcipu, jedynie w swoim rodzaju ułudę. Ośmiem takich, najbardziej znanych i cenionych utworów Zofia Szleyen przedstawiła polskiemu czytelnikowi. I naprawdę było warto, tyle jest poezji i finezyjnego dowcipu w tych tekstach, choćby nawet niekiedy niektóre z nich zlekka trąciły już myślką.

Z polskiej klasyki otrzymaliśmy w serii powieści obyczajowych Józefa Ignacego Kraszewskiego „Męcenników”, obrazy życia współczesnego, właściwie nieznane polskiemu czytelnikowi, poprzednie wydanie książkowe ukazało się bowiem w r. 1886. Są to właściwie dwie powieści. „Na wysokościach” i „Marynka”, związane jedynie wspólnym tytułem. Pierwsza to męczeństwo miłości, druga — męczeństwo sztuki. Obie cechuje typowy dla Kraszewskiego zmysł obserwacji społecznej i żywo wiązana akcja.

Na osiemdziesiątce prof. Stanisława Pigonia ukazał się opracowany zbiorowo, pod redakcją Tadeusza Ulewicza, zarys monograficzny „Dzieje Katedry Historii Literatury Polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim”. Katedra ta liczy sobie blisko dwa wieki ciągłości ideowo-kulturalnej, co jest ewenementem w naszych dziejach porzecznych i co m. in. spowodowało, iż dzięki

tak dawnym tradycjom funkcja tego ośrodka wiedzy polonistycznej stała się tak wielką i rzutującą na całość rozwoju tej dyscypliny w kraju. Autorzy prowadzą nas od czasów katedry literatury w Szkole Głównej Koronnej od 1872 r. do 1975 r. i z kolei przez cały czas porzeczny aż po okres niepodległościowy. Praca, dosyć mimo starań niejednolita, jest nader frapująca, wprowadza bowiem szeroko nie tylko w same dzieje katedry czy studium, ale ukazuje jej znaczenie polityczne i kulturalne. Sporo tu przy tym i materiałów o charakterze anegdotycznym.

Jeden z najpracowitszych krytyków naszej współczesności literackiej, Włodzimierz Maciąg opuścił tom swych esejów i studiów „Nasz chleb powszedni”. Autora interesuje tu w szerokim aspekcie widzenia proza powojennego dwudziestolecia. Obok ocen sumarycznych, zajmuje się twórczością poszczególnych indywidualności pisarskich, jak Iwaszkiewicza, Brezy, Newerlego, Machajki czy Bocheńskiego. Osobne rozdziały poświęcone są omówieniu dorobku prozy za lata 1963 i 1964. Niekoniecznie trzeba się z Maciągiem godzić we wszystkie jego oceny, niejedną z nich wywołują sprzeciw. Niemniej teksty prezentowane wychodzą spod pióra dobrze wprowadzonego w meritum, sumienne krytyka, którego jedną z głównych cech jest także skromność i dowodząca dużej dojrzałości pisarskiej prostota stylu.

Z nowości beletrystycznych trzeba wskazać przede wszystkim na „Opowiadania wybrane” Tadeusza Hołujy przynoszące zestaw najlepszych tekstów nowelistycznych tego autora. Niektóre z opowiadań uległy daleko idącym zmianom w stosunku do tekstów, jakie znamy z poprzednich wydań. I jeszcze jedno. Maria Kędziorzyna wydała, tym razem dla młodszego odbiorcy, uroczą książeczkę „Czar Wielkiej Sowy”, gdzie w baśniowej aurze pokazany został bliski, autentyczny świat zwierząt, świetnie znany autorce. Polecam: kupcie tę książeczkę waszym pociechom.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Wołgogradu, zasobniejszego niż kiedykolwiek w przybytki kultury, imponujące nadwoziańskie bulwary, nowoczesne domy towarowe, zakłady gastronomiczne, i sklepy z wystawami i neonami efektowniej niż od wielu moskiewskich. Na ulicach młodzież mieszkawców zwraca uwagę bardziej niż w największych miastach ZSRR. Ortaliony, szpilki, kolory — to rzuca się w oczy. Stosunkowo mniej tutaj przybyszów ze wsi.

Uznysławiam sobie, że współczesnym pozostaje jedynie wierzyć relacjom starszych, dokumentom i pamiątkom, przypominającym bitwę stalingradzką. Bo miasto, wskrzeszone i rozbudowywane, zapracowane i piękniejące, nie ma na sobie piętna wojny. I tak jest dobrze. I tak powinno być. W Warszawie, Wołgogradzie czy Hiroszimie.

WIESŁAW PORZYCKI

stują i pucują. No, bo po co dziecko ma to robić... Czy się więc można dziwić, jeśli dochodzi do tego, że taki czy inny ancymentek bez żenady zwraca się do rodziców: — Mamo, wyczyść mi buty! (...) Przejaskrawienia? Nie, to nie są przejaśnienia, to są realia rodzinne jednej z tych podstawowych komórek społecznego życia. Trudno będzie w takich rodzinach — konkluduje Brodzki — wypuścić młodych ludzi w życie z pozytywnym bagażem świadomości. Jeśli człowiek jest tylko wart, ile daje z siebie społeczeństwu; i że nie jest społecznikiem ten, kto społecznie nawet działa, wyobcowany jest jednak z kłopotów własnej komórki rodzinnej, przychodzi na czyste, wyprane, wyprasowane, ugotowane i gotowe.”

Lesław M. Bartelski drukuje w „Kulturze” artykuł „O pamięci bliskich”, w którym upomina się o publikację dzienników niedawno zmarłych pisarzy, takich jak Wilhelma Macha, Zofii Nalkowskiej czy Marii Dąbrowskiej. „Życie Literackie” w piątą rocznicę śmierci Ernesta Hemingwaya zamieszcza obszerny fragment eseju Roberta Penna Warren’a o tym pisarzu. Zofia Zielińska w „Gazecie Chłopskiej” pisze o dzieciach wiejskich, a dokładniej — o niewykorzystanych możliwościach organizowania tych potrzebnych placówek. „Współczesność” w cyklu „Polska w Europie” publikuje rozmowę z Robertem Stancowskim — prezesem Stowarzyszenia Polskich Artystów-Muzyków.

LEKTOR

Przeglądamy
Prasę

WŁAŚCIWY CZŁOWIEK
NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU!

W grupie zawodów humanistycznych zgodnie z kwalifikacjami pracuje tylko 48,4 proc., w grupie nauk ścisłych 58,7 proc., w grupie prawników 71,3 proc., w zawodach rolnych 81,1 proc. Oto np. w zakładzie handlu artykułami do produkcji rolnej kierownikiem działu jest nauczycielka, w sekcji pasz treściwych starszym instruktorem — filozof, a instruktorem — geolog... Oto niektóre tylko dane, które przytacza Zbigniew Kwiatkowski na łamach „Życia Literackiego”, poruszając nienowicie a jakże istotny problem. Zdaniem autora właściwy człowiek na właściwym miejscu — to taki, który gwarantuje sprawne działanie zatrudniającej go maszyny. Na czym więc polega problem?